

Imperium na skraju upadku

17 czerwca 2019

Napięcia w Europie pogłębiają się. Brexit, kryzys kierownictwa w Niemczech, a wreszcie ekspansja nacjonalizmów usiłujących wykorzystywać Unię Europejską do własnych, partykularnych celów tworzą scenerię, w której coraz trudniej uwierzyć w oficjalne narracje o integracji.

Czym jest Unia Europejska? Pierwsza rzecz, jaka przychodzi do głowy: Unia to liberalne, czy może raczej neoliberalne imperium – hierarchicznie zorganizowany blok państw, nominalnie suwerennych, zawdzięczający stabilność dystrybucji władzy z centrum w stronę peryferiów.

W centrum znajdują się Niemcy, starające się mniej lub bardziej skutecznie ukryć w twardym jądrze Europy (Kerneuropa), które tworzą wraz z Francją. Nie chcą być postrzegane jako – jak to określają Brytyjczycy – Continental Unifier, „jednoczyiciel kontynentu” choć w istocie nim są. Fakt, że chowają się za Francją, jest dla tej ostatniej źródłem mocy. Niemcy, podobnie jak inne imperialne kraje, począwszy od Stanów Zjednoczonych, same siebie postrzegają – i chcą, aby inni widzieli je tak samo – jako hegemoniczną, dobroczynną potęgę, udzielającą sąsiadom uniwersalnej rozwagi i moralnych cnót, których koszt biorą na swoje barki. Ciężar, który warto ponieść dla dobra ludzkości [1].

Wartości, jakie w Niemczech i Europie legitymizuje imperium to liberalna demokracja, rząd konstytucyjny i wolność jednostki – krótko mówiąc, wartości politycznego liberalizmu. Dostajemy więc, w zależności od okoliczności, zapakowane w ten sam ozdobny papier wolny rynek lub wolną konkurencję, czyli liberalizm gospodarczy czy też neoliberalizm. Określenie dokładnego składu i znaczenia bukietu imperialnych wartości, a także sposobu, w jaki stosuje się je w konkretnych sytuacjach, to przywilej hegemonicznego centrum. Dzięki temu centrum, w

zamian za przychylność, może nałożyć swego rodzaju seniorat na swoje peryferia.

Zachowanie imperialnych asymetrii wśród nominalnie suwerennych narodów wymaga skomplikowanych rozwiązań politycznych i instytucjonalnych. Państwami peryferyjnymi muszą więc rządzić elity, dla których struktury i wartości centrum stanowią wzór do naśladowania. Powinny być gotowe tak prowadzić wewnętrzne sprawy gospodarcze i społeczne swego kraju, aby było to zgodne z interesami centrum. By imperium przetrwało, trzeba utrzymać te elity u władzy. Ma to jednak, jak pokazuje amerykańskie doświadczenie, swoją cenę, związaną z wartościami demokratycznymi i zasobami gospodarczymi, a nawet ludzkim życiem.

Niekiedy rządzące elity krajów „małych” lub „zacofanych w rozwoju” starają się zdobyć status członków imperium drugiej kategorii. Mają nadzieję, że władcy imperium pomogą im narzucić społeczeństwom projekty „modernizacji”, niekoniecznie wzbudzające w tychże społeczeństwach powszechny entuzjazm. W zamian za posłuszeństwo i oddanie jego sprawie, imperium zapewnia im ideologiczne, finansowe i wojskowe środki kontrolowania ugrupowań opozycyjnych.

W liberalnym imperium, którego spójność teoretycznie opiera się na wartościach moralnych, a nie na przemocy wojskowej, wcale nie jest to łatwe. Klasy rządzące, zarówno w centrum, jak na peryferiach, popełniają błędy. Na przykład działające zespołowo Niemcy i Francja – z mniej lub bardziej oficjalnym wsparciem Europejskiego Banku Centralnego (EBC) – w obliczu oporu społeczeństwa nie zdołały utrzymać przy władzy „reformistycznego” rządu Włoch Matteo Renziego. Obserwujemy też, że Niemcy nie są w stanie ochronić prezydentury Emmanuela Macrona przed gniewem „żółtych kamizelek” i innych przeciwników jego programu germanizacji gospodarki.

Kraju-hegemonu nie omijają też wewnętrzne trudności. W ramach neoliberalnego imperializmu jego rząd musi zadbać o to, by

obrona interesów narodowych – czy raczej tego, co przez to rozumie – sprawiała wrażenie obrony wartości liberalnych w ogóle, demokracji i dobrobytu dla wszystkich. W tym celu może potrzebować pomocy państw klienckich. Nie udało się to w 2015 r., kiedy rząd Angeli Merkel próbował rozwiązać zarówno kryzys demograficzny, jak i problem wizerunkowy Niemiec, zastępując bezwarunkowym prawem azylu wzrost uregulowanej imigracji, na który nie godzili się chadeccy deputowani.

Za otwarciem granic niemieckich pod pretekstem, że nie dało się ich już kontrolować, lub ze względu na wymogi prawa międzynarodowego, kryło się założenie, że Unia jako całość podąży za Berlinem. Jednak nie zrobiło tego żadne z państw członkowskich. Jedne, jak Francja, zachowały milczenie; inne, jak Węgry i Polska, publicznie powoływały się na swoją suwerenność narodową. Zrywając, ze względu na politykę wewnętrzną, z niepisaną liberalno-imperialną zasadą, że nigdy nie należy wprawiać w zakłopotanie innego rządu – a już zwłaszcza rządu hegemonicznej potęgi – stały się dla Merkel źródłem wewnętrznych trudności, z którymi nie umiała sobie poradzić. Stworzyły także w wewnętrznej i zewnętrznej w polityce imperium trwałą przepaść między Europą centralną a wschodnią. To wydarzenie dodało tylko nowe podziały do tych już w Europie istniejących – na zachodzie z Wielką Brytanią i na południu wzdłuż linii śródziemnomorskiej (co stało się decydujące w momencie wprowadzenia wspólnej waluty).

Imperium liberalne, bardziej niż inne imperia, cierpi z powodu ciągłej nierównowagi i w każdej chwili znajduje się pod presją – oddolną i ze strony innych państw. Nie ma możliwości interwencji wojskowej w swoich krajach członkowskich, nie może użyć siły, aby zapobiec secesji. Kiedy Wielka Brytania zdecydowała wycofać się z Unii, Niemcy czy Francja nie zastanawiały się ani przez chwilę nad inwazją na Wyspy Brytyjskie w celu jej zatrzymania. Jak dotąd Unia rzeczywiście stanowiła siłę pokojową. Jednak z niemieckiego lub francusko-niemieckiego punktu widzenia polubowny rozwód brytyjski

kwestionuje imperialną dyscyplinę, i inne buntujące się przeciwko tej dyscyplinie kraje mogłyby również zastanawiać się nad wyjściem.

Gdyby zaś Brexitu można było uniknąć dzięki znacznym ustępstwom, inne kraje też mogłyby domagać się renegocjacji prawnego „dorobku wspólnotowego”, który miał być nienegocjowalny. Zjednoczone Królestwo musiało więc wybrać między pozostaniem w Unii bez ustępstw (bezwarunkowa kapitulacja) a wycofaniem się i poniesieniem wysokich kosztów. Było tak, mimo że Londyn często pomagał Niemcom rozluźnić uścisk Francji, równoważąc francuski etatyzm zdrowym (w oczach Niemiec) przywiązaniem do gospodarki rynkowej. Wraz z Brexitem ta równowaga się zachwiała.

Świadoma tego Francja wezwała do bardzo stanowczej postawy w negocjacjach z Londynem, ledwo ukrywając, że naprawdę chodzi jej o to, żeby Brytyjczycy trzymali się decyzji o odejściu. Wykorzystując obawy Niemiec dotyczące imperialnej dyscypliny, jak się zdaje dostała to, czego chciała. Berlin z jednej strony boi się utraty jednego z najważniejszych rynków eksportowych, z drugiej, musi teraz hamować francuskie ambicje nie mając brytyjskiego wsparcia. Czy ustępując Francji, Niemcy podjęły oportunistyczną i krótkowzroczną decyzję w stylu Merkel, za którą w następnych latach słono im przyjdzie zapłacić? Czas pokaże.

Jeśli decyzja Wielkiej Brytanii o wyjściu z Unii opierała się na nacjonalistycznych, a nie „antysocjalistycznych” względach, to zapewne popełniła historyczny błąd. Brexit czyni Francję jedyną potęgą nuklearną w Unii, a także jedyną, będącą stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ambiwalentnych odczuć, jakie budzą w Berlinie ambicje Francji zajęcia pierwszego miejsca w ściśle zintegrowanej Unii – co mogłoby być równoznaczne z wykorzystaniem potęgi gospodarczej Niemiec dla francuskich interesów – nie muszą podzielać inne państwa członkowskie. Gdy Wielka Brytania wyjdzie z gry, Francja może aspirować do statusu „jednoczyciela Europy”, wywierając presję

na Niemcy, aby zaangażowały się w projekt europejskiej wspólnoty w stylu francuskim: jak to ujął Macron – „suwerenna Francja w suwerennej Europie”. Zablokowanie tej ewolucji z zewnątrz może okazać się dla Brytyjczyków trudniejsze niż sabotowanie jej od środka. Przypominamy sobie wysiłki podjęte w latach 60. przez generała de Gaulle’a, chcącego uniemożliwić Zjednoczonemu Królestwu wejście do ówczesnej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG), ponieważ kraj ten nie wydawał mu się wystarczająco „europejski”.

Na polu geostrategicznym

Zarządzanie imperium obejmuje oczywiście nie tylko aspekty ekonomiczne i ideologiczne, lecz również – zwłaszcza na obrzeżach terytoriów – względy geostrategiczne. Ekspansja gospodarcza wymaga stabilizacji państw granicznych na peryferiach, dotyczy to zwłaszcza imperium kapitalistycznego. Tam, gdzie imperium graniczy z innym imperium – wszystko jedno, ekspansjonistycznym czy nie – jest skłonne zapłacić wyższą cenę za utrzymanie współpracujących z nim rządów narodowych lub za pozbywanie się tych, które współpracować nie chcą. Krajowe elity, które w takich okolicznościach mogą grozić odłączeniem się lub przejściem na drugą stronę, są w stanie uzyskać większe ustępstwa, nawet jeśli ich polityka wewnętrzna jest dość niesmaczna (jak w Serbii czy Rumunii).

Na koniec pojawia się kwestia siły militarnej – którą należy odróżnić od „soft power”, czyli władzy, jaką mają wpływy i wartości. Liberalne imperium miałooby duży problem z użyciem siły wobec niezdyscyplinowanego społeczeństwa, może jednak chronić przyjazne sobie rządy, dając im środki umożliwiające wrogą, nacjonalistyczną postawę wobec sąsiedniego kraju, który czuje się zagrożony przez ekspansywne imperium. W zamian hegemon może domagać się ustępstw, na przykład w postaci wsparcia jego pozycji w kwestiach będących przedmiotem sporu między państwami członkowskimi Unii. Dlatego kraje bałtyckie zachowały milczenie w sprawie przyjęcia i rozdziału uchodźców,

w zamian za wzrost siły niemieckiej armii i jej rozmieszczenie w taki sposób, by była zagrożeniem dla Rosji.

Znajdujące się w łonie liberalnego imperium państwa i ich obywatele mają nadzieję na rządy nie uciekające się do siły zbrojnej. Jednak ostatecznie okazuje się to złudzeniem – nie ma hegemonii bez armat. W takim właśnie kontekście trzeba rozumieć decyzję rządu Merkel, który podporządkowując się wymogom Stanów Zjednoczonych i NATO obiecał niemal podwoić budżet wojskowy kraju (ma sięgać 2% PKB). Jeśli ten cel rzeczywiście zostanie osiągnięty, wydatki wojskowe Niemiec (zakup i rozwój uzbrojenia konwencjonalnego) przekroczą wydatki Rosji o ponad 40%. Przyczyniłoby się to do zapewne do mocniejszego zakotwiczenia w Unii państw takich, jak kraje bałtyckie czy Polska, dla których alternatywna amerykańska oferta byłaby mniej atrakcyjna. Taki scenariusz może pomógłby Niemcom uzyskać od wschodnich państw członkowskich UE ustępstwa w kwestiach wartości – takich jak pomoc dla uchodźców czy „małżeństwa dla wszystkich”, lecz jednocześnie dałby Rosji powody do modernizacji arsenału nuklearnego (do czego zresztą już się zabrała). Zachęciłoby to również kraje takie jak Ukraina do przyjęcia ostrzejszej postawy wobec Moskwy.

Francja, której budżet obronny sięga już prawie magicznej wartości 2% PKB, mogłaby mieć nadzieję, że podwojenie wydatków wojskowych Niemiec zaszkodzi ich wynikom gospodarczym (choć wydaje się korzystne dla współpracy francusko-niemieckiej w dziedzinie produkcji i eksportu broni). Co jeszcze istotniejsze, w takiej armii europejskiej, o jakiej myśli Macron, wspierany w tym przez niemieckich euroentuzjastów, znaczny wzrost niemieckiego uzbrojenia konwencjonalnego zniwelowałby słabość francuskich wojsk lądowych. Można to wytłumaczyć nieproporcjonalnym udziałem budżetu wojskowego przeznaczanego na oddziały uderzeniowe, narzędzie trudne do wykorzystania przeciwko islamistycznym bojownikom w Afryce Zachodniej, którzy próbują uniemożliwić Francji dostęp do

uranu i minerałów ziem rzadkich.

Jak wiadomo, imperium europejskie – niemieckie czy też francusko-niemieckie – jest nie tylko liberalne – jest neoliberalne. Imperia narzucają państwom członkowskim jednolity porządek społeczny, wzorowany na tym, który panuje w centrum. W Unii Europejskiej gospodarki narodowe rządzą się „czterema swobodami” rynku wewnętrznego (towarów, kapitału, usług i osób), a także jedną walutą, euro, która zgodnie z traktatem z Maastricht, docelowo ma obowiązywać we wszystkich państwach członkowskich. Jeśli o to chodzi, Unia ściśle trzyma się przepisu na neoliberalny internacjonalizm, stworzonego i historycznie zaktualizowanego przez Friedricha von Hayeka. Kluczowym pojęciem jest „izonomia” – identyczne systemy prawne dla wciąż formalnie suwerennych państw narodowych, które wprowadzono wychodząc z założenia, że są niezbędne do sprawnego funkcjonowania rynków międzynarodowych [2].

Zarówno Hayek, jak Karl Polanyi pokazują, że piętą achillesową neoliberalizmu jest „demokracja”. Izonomia i jej reżim walutowy oznaczają ścisłe ograniczenie wpływu opartej na woli większości demokracji na ekonomię polityczną. Rządy państw należących do neoliberalnego imperium, narażając obywateli na presję zintegrowanych rynków międzynarodowych nie powinny obawiać się, że ci zemszczą się przy następnych wyborach. Przecież robią to – rzecz oczywista – dla dobra tych obywateli (nawet jeśli tamci widzą sprawę inaczej), a już na pewno dla dobra akumulacji kapitału. Dlatego imperium musi wyposażyć je w krajowe i międzynarodowe instytucje, pomagające umknąć władzy powszechnych wyborów. Innymi słowy, państwo neoliberalne okazuje się słabe w relacjach z rynkiem, za to surowe wobec sił społecznych, które domagają się politycznego korygowania wolnej gry rynków. Właściwym pojęciem opisującym tę sytuację jest „autorytarny liberalizm”, doktryna polityczna, której początki sięgają Republiki Weimarskiej i przyjaznego spotkania neoliberalnych ekonomistów z „koronnym jurystą” Trzeciej Rzeszy, Carlem Schmittem [3].

Liberalizm autorytarny wykorzystuje silne państwo do ochrony gospodarki wolnorynkowej przed niebezpieczeństwami demokracji [4]. W Unii Europejskiej wynika to głównie z internacjonalizacji – stworzenia instytucjonalnych mechanizmów umożliwiających rządowi odsyłanie gospodarek narodowych do tworzących normy międzynarodowych organów, takich jak rady ministerialne, sądy ponadnarodowe lub banki. W ten sposób mogą uwolnić się od odpowiedzialności wynikającej z suwerenności narodowej, której nie chcą lub nie mogą już wziąć na siebie.

Dzięki umiędzynarodowieniu dostają narzędzie, przez prawowierne nauki polityczne nazwane „wielopoziomą dyplomacją” [5] – negocjacje międzynarodowych mandatów, które krajowe kierownictwo może zastosować w swojej polityce wewnętrznej, albowiem z przyczyny wielostronnego pochodzenia wyryte są na kamiennych tablicach. To jeden z powodów, dla których (neo)liberalne imperium jest pociągające dla elit narodowych – mogą polegać na tego typu narzędziach, zwłaszcza w momencie, gdy będący w stagnacji kapitalizm nie jest w stanie spełnić oczekiwań, od których zależy jego uprawomocnienie. „Elity te, zamiast spoglądać w głąb narodu, wzmacniają swoją władzę opierając się na ponadnarodowych czy międzyrządowych ustaleniach” – tak prawnik Peter Ramsay wyjaśnia ostry sprzeciw przeciwników Brexitu wywodzących się z brytyjskiej klasy rządzącej. „Unia jest dobrowolnym imperium złożonym z państw, które odrzucają swój charakter narodowy, które zaprzeczają temu, że władza państwa pochodzi od narodu politycznego” [6].

Zajmowanie pozycji hegemonu w liberalnym imperium wcale nie jest łatwe. Coraz wyraźniej widać, że Niemcy – z Francją lub bez niej – nie będą już mogły odgrywać tej roli. Jak widzieliśmy na przykładzie zarówno Związku Radzieckiego, jak Stanów Zjednoczonych, ekspansja terytorialna zawsze była dla imperiów śmiertelną pokusą. W sprawach obronnych niemiecka opinia publiczna wciąż jest zasadniczo pacyfistyczna, a parlament nie odrzuci konstytucyjnej prerogatywy dotyczącej

regulowania najdrobniejszych nawet szczegółów rozmieszczenia wojsk. Nawet na korzyść Macrona, idealnego zięcia niemieckiej klasy politycznej.

Można się również spodziewać wzrostu zapotrzebowania na dodatkowe finansowanie przez imperium krajów basenu Morza Śródziemnego, będących ofiarami niemieckiej polityki twardej waluty, a także na dofinansowanie funduszy strukturalnych, które wspierają państwa Europy Środkowej i ich „proeuropejskich” przywódców. A że we Francji notujemy niski wzrost gospodarczy i wysokie deficyty, ciężar ten spadnie wyłącznie na Niemcy, choć poziom koniecznych transferów znacznie przekracza ich możliwości.

Warto też zwrócić uwagę, że od epizodu z uchodźcami w 2015 r. Alternatywa dla Niemiec (AfD) stanowi największą partię opozycyjną. Jest nacjonalistyczna, lecz przede wszystkim ze względu na swoją izolacjonistyczną i antyimperialistyczną postawę. Co ciekawe, niemieccy liberalni imperialiści uznają ją za „antyeuropejską”. Biorąc na chwilę w nawias jej odrażające paroksyzmy rasizmu i historycznego rewizjonizmu, nacjonalizm AfD wyraża się w odmowie płacenia na imperium – przy czym zakłada się, że inne kraje mogą również postępować wedle własnej woli. Dowodem skłonność partii do ugody z Rosją, stanowisko, które dzieli z lewym skrzydłem partii Die Linke. Widać tu znaczące podobieństwo do Trumpowskiego „America First”, hasła pierwotnie bardziej izolacjonistycznego niż imperialistycznego, odcinającego się od liberalnego imperializmu Hillary Clinton i Baracka Obamy.

Autorstwo: Wolfgang Streeck

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

0 autorze

Wolfgang Streeck – socjolog, emerytowany dyrektor Instytutu Badań Społeczeństw im. Maxa Plancka. Wcześniejsza wersja tego

artykułu została opublikowana na blogu London School of Economics pod tytułem „The European Union is a liberal empire, and it is about to fall” 6 marca 2019 r.

Przypisy

[1] Perry Anderson, „The H-Word: The Peripeteia of Hegemony”, Verso, Londyn–Nowy Jork 2017.

[2] Zob. Quinn Slobodian, „Globalists: The End of Empire and the Birth of Neoliberalism”, Harvard University Press, Cambridge 2018.

[3] Por. Heller, „Schmitt and the Euro”, European Law Journal”, tom. 21, nr 3, Hoboken (New Jersey), maj 2015.

[4] Andrew Gamble, „The Free Economy and the Strong State: The Politics of Thatcherism”, Palgrave Macmillan, Londyn 1988.

[5] Robert D. Putnam, „Diplomacy and domestic politics: The logic of two-level games”, International Organization, tom 42, nr 3, Cambridge, lato 1988.

[6] Por. Peter Ramsay, „The EU is a default empire of nations in denial”, blog London School of Economics, 14 marca 2019, <https://blogs.lse.ac.uk>.